



ŚWIAT dzieci



DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



Hania poszła przygotować kolację i teraz pierwszy raz przyjrzała się uważnie blaszanej puszczyce, w której mama przechowywała herbatę.

— Ojej! — wykrzyknęła — Co tu narysowane! Mężczyzna z warkoczem! Ojej, jaki śmieszny!

Franek podniósł głowę nad książką.

— No, i czemu robisz tyle krzyku? Chińczyka nie widziałś, czy co?

— Pewno, że nie widziałam. A ty widziałeś?

Franek też nie widział nigdy Chińczyka, ale dużo czytał i wie, „wszystko, co się dzieje na świecie”. Bo Franek bardzo lubi książki podróżnicze.

— To nie jest prawdziwy Chińczyk — zawyrokował, patrząc na pudełko. — Ma twarz różową, jak my, a Chińczyk musi być żółty.

— A dlaczego?

Franek nie wiedział dlaczego Chińczyk jest żółty, więc udął, że nie słyszy pytania i zmienił temat.

— Chińczyk ma oczy skośne, ot takie — i dwoma palcami ściągnął sobie skórę na skroniach.

— A Chinki mają nogi małeńkie, jak u dzieci, i chodzą w drewnianych bucikach — ode-

LUDZIE Z DALEKICH STRON

zwał się Antek, który do tej pory nie wtrącał się do rozmowy.

— W Chinach jest chiński mur — dodał Franek.

— Chińczycy jedzą ryż patyczkami — powiedział Antek.

I zaczęli się licytować, kto więcej wie o Chinach, aż się Hani wszystko w głowie pokręciło.

— Co wy za głupstwa pleciecie. I ja już sama nie wiem, co prawda, a co żart.

— Nie wierzysz? — oburzył się Franek — to spytaj wujka. Wujek był w Chinach i sam ci wszystko może powiedzieć. Prawda wujku?

Wujek, który już od chwili przysłuchiwał się hałaśliwej rozmowie, teraz odłożył gazetę i zdjął okulary. To był najlepszy znak, że więcej czytać nie będzie.

— Nic dziwnego, że Hania nie może zrozumieć. Opowiadacie tak, że rzeczywiście wyglądają na bajkę. Jest w Azji olbrzymi kraj, Chiny. To prawda, co mówił Franek, że ludzie tam mają żółty kolor skóry. Nie wszyscy przecież na świecie są biali jak my. Są czarni, są i czerwonoskórzy, a Chińczycy są żółci.

— Jak śmiesznie...

— Wcale nie śmiesznie. Dla nich może my, biali, wydajemy się śmieszni. Jest to kraj bardzo stary, znacznie starszy od naszego i ma bardzo starą kulturę.

— A piszą pędzelkami, tak wujku? — przerwał Franek.

— Tak, piszą tuszem i pędzelkiem, ale drukują również. I powiem wam, że sztukę drukarską poznali znacznie wcześniej niż biali.

Chciałabym tam pojechać — odezwała się nagle Hania.

— O, to bardzo daleko. Trzeba przejechać prawie całą Europę i więcej niż pół Azji...

— A wujku, Murzyni też tam są?

— Ojczyzną Murzynów jest Afryka. Ale bardzo ich dużo mieszka w Ameryce.

— Skąd się tam wzięli?

— Widzisz, w dawnych czasach, biali ludzie traktowali Murzynów, jak zwierzęta. Łapali ich i wywozili do Ameryki, gdzie sprzedawali jako niewolników. Niewolnik musiał całe życie pracować dla swego pana, jeżeli go ten pan nie sprzedał innemu.

— Sprzedać? Przecież to ludzie...

— A tego dawniej nie rozumiano. Czytaliście „Chatę wuja Toma”?

— Tak, tak...

— No więc pamiętacie, jak to było.

— I teraz też tam tak jest?

— Teraz już Murzynów nie sprzedają, ale jeszcze Amerykanie nie pozwalają im przebywać w tych samych lokalach, gdzie są biali, Murzyni jeżdżą oddzielnymi tramwajami, żyją



w biedzie i bardzo trudno im dostać się do szkoły, mimo, że są bardzo zdolni. Szkół dla Murzynów jest mało, a do innych nie wolno im chodzić.

— Przecież to niesprawiedliwe. Dlaczego tak jest?

— Nie wszyscy ludzie jeszcze rozumieją, że wartość człowieka nie zależy od koloru jego skóry, czy włosów. Murzyni walczą o swoje prawa, ale jest im trudno. Upominają się o ich prawa i biali, ci, którzy rozumieją, że ludzie wszyscy są jednakowi, bez względu na to, jakim mówią językiem i jaką mają skórę...

— A czerwonoskórzy?...

— Indianie? Ich ojczyzną była Ameryka, ale tu też wyparli ich biali... Teraz ludzie już zaczynają rozumieć, że czy Murzyn czy czerwonoskórzy, czy żółty, jednakowe mają prawo do życia, ale dawniej tego nie rozumiano. Biali uważali, że tylko oni są panami ziemi i o fiarę ich padły ludy, tzw. kolonowe...

Gdy matka wróciła z pracy, zastała całą czwórkę nisko pochyloną nad mapą.

— Cóż wy tu robicie?

— Wędrujemy po świecie — odparł wuj — i poznajemy różnych ludzi.



Henryk Sienkiewicz

NOWY PRZYJACIEL

(Wyjętek z „W pustyni i w puszczy“)

Po pewnym czasie młodzi podróżnicy znaleźli wyjście, ale dość strome, tak, że trzeba było zsiąść z koni i prowadzić je za sobą. Ponieważ wedle zapewnień Murzyna, do rzeki było bardzo blisko, więc ruszyli dalej piechotą. Doszli na koniec na wysoki cypel ograniczony z jednej strony rzeką, z drugiej parowem i spojrzawszy w dół ujrzeli na dnie kotliny słonia.

Olbryzi zwierz leżał na brzuchu i ku wielkiemu zdziwieniu Stasia nie zerwał się na ich widok, tylko gdy Saba począł dopadać do brzegu wądołu i szczekać za jadła, poruszył na chwilę ogromnymi uszami i podniósł trąbę, ale opuścił ją natychmiast.

Dzieci trzymając się za ręce długo patrzyły na niego w milczeniu, które przerwał dopiero Kali.



— On umierać z głodu! — zawołał.

Rzeczywiście słoń wychudzony był do tego stopnia, że jego grzbiet tworzył wzdłuż ciała jakby sterczący grzebień; boki miał zapadłe, pod skórą, mimo jej grubości, rysowały się wyraźnie żebra — łatwo było odgadnąć, iż nie wstaje dlatego, że nie ma sił.

Wąwóz dość przy ujściu szeroki, zmienił się w zamkniętą z obu stron pionowymi skałami kotlinę, na której dnie rosło kilka drzew. Otóż drzewa te były polamane, kora na nich obdarta, na gałęziach ani listka. Pnącze zwieszające się ze skał były również pozdzierane i objedzone, a trawa w kotlinie wyskubana do ostatniego źdźbła.

Stas rozpatrzywszy się dokładnie w położeniu jał dzielić się swymi spostrzeżeniami z Nel, ale pod wrażeniem nieuniknionej śmierci olbrzymiego zwierzęcia, mówił cicho, jakby się bał, by nie zmącić mu ostatnich chwil życia.

— Tak, on rzeczywiście umiera z głodu. Zjadł wszystko co było do zjedzenia, a teraz męczy się tylko, tym bardziej, że tu na górze rosną chlebowce i akacje o wielkich strąkach, a on je widzi i nie może się do nich dostać.

I przez chwilę patrzyli znowu w milczeniu, a słoń także zwracał na nich raz w raz swe małe gasnące oczka — i coś w rodzaju gulgotania wydobywało mu się z gardła.

— Doprawdy — odezwał się chłopiec — lepiej będzie skrócić mu tę mękę.

To rzekłszy podniósł strzelbę do twarzy, lecz Nel chwyciła go za kurtkę

i opierając się na obu nóżkach poczęła odciągać go z całej siły znad brzegu parowu.

— Stasiu, nie rób tego! Stasiu, dajmy mu jeść! — on taki biedny! Ja nie chcę, żebyś ty go zabijał! nie chcę! nie chcę!

I tupiąc nóżkami nie przestawała go ciągnąć, a on spojrzal na nią z wielkim zdumieniem, lecz widząc jej oczy pełne łez rzekł:

— Ależ Nel...

— Nie chcę! nie dam go zabić! Ja dostanę febry, jeśli go zabijesz!

Dla Stasia dość było tej groźby, by wyrzec się zabójczych zamarów — i względem tego słonia, którego miał przed sobą, i względem wszystkich innych na świecie. Przez chwilę milczał jeszcze nie wiedząc, co miał odpowiedzieć, po czym rzekł:

— No, dobrze, dobrze!... Mówię ci, że dobrze! Nel! puść mnie!

A Nel uściskała go teraz i przez jej zaplakane oczy przeblysnął uśmiech. Teraz chodziło jej tylko o to, by jak najprędzej dać słoniowi jeść. Kali i Mea zdziwili się bardzo, gdy dowiedzieli się, że „bwana kubwa“ nie tylko go nie zabije, ale, że mają natychmiast narwać dla niego tyle melonów z drzewa chlebowego, tyle strąków akacji i tyle wszelkiego rodzaju zieliska, liści i traw, ile tylko zdołają. Obosieczny sudański miecz przydał się Kalem do tych czynności bardzo i gdyby nie on, robota nie poszłaby łatwo. Nel jednak nie chciała czekać na jej ukończenie i gdy tylko pierwszy melon spadł z drzewa, porwała go w obie ręce i niosąc go do wąwozu powtarzała prędko jakby z obawą, by jej nie chciał kto inny wyprzedzić:

— Ja! ja! ja!

Lecz Staś nie myślał bynajmniej pozbawiać jej tej rozkoszy, z obawy tylko, by ze zbytku zapалу nie zleciała razem z melonem, chwycił ją za pasek i zawołał:

— Ciskaj!

Ogromny owoc potoczył się po stromej pochyłości i padł przy nogach słonia, ów zaś wyciągnął w mgnieniu oka trąbę, pochwyił go, potem ją zgiał, jakby chciał włożyć sobie melona pod szyję — i tyle go dzieci widziały!

— Zjadł! — zawołała uszczęśliwiona Nel.

— Spodziewam się! — odpowiedział śmiejąc się Staś.

A słoń wyciągnął ku nim trąbę, jakby chciał prosić o więcej, i odczuwał się potężnym głosem:

— Hrrumpf!

— Chce jeszcze!

— Spodziewam się — powtórzył Staś.

Drugi melon poszedł w ślad za pierwszym i zniknął w jednej chwili tak samo, potem, trzeci, czwarty, dziesiąty, następnie zaczęły zlatywać strąki akacji i całe wiązki traw i wielkich liści. Nel nie pozwoliła się nikomu zastąpić i gdy jej małe ręce zmęczyły się robotą, spychała nóżkami coraz nowe zapasy, słoń zaś jadł i podnosząc kiedy niekiedy trąbę wyglądał swoje grzmiące „hrrumpf“ na znak, że chce jeszcze więcej i — jak utrzymywała Nel — na znak, że dziękuje.

Lecz Kali i Mea zmęczeni się na konie robotą, którą spełniali bardzo gorli-

wie, ale tylko w tej myśli, że „bwana kubwa“ pragnie naprzód odpaść słonia, a potem dopiero go zabić. Wreszcie jednak „bwana kubwa“ kazał im przestać, gdyż słońce zniżyło się już mocno i czas był rozpocząć budowę zeriby. Na szczęście nie była to rzecz trudna, albowiem dwa boki trójkątnego cypla były zupełnie niedostępne, tak że należało tylko zagrozić trzeci. Akacyj z okrutnymi kolcami nie brakło także.

Nel nie odstępowała ani na krok od wąwozu i siedząc w kucki nad jego brzegiem oznajmiała z dala Stasiowi, co słoń robi, i raz w raz rozlegał się jej cienki głosik:

— Szuka koło siebie trąbę!

Albo:

— Rusza uszami. Ogromne ma uszy! A wreszcie:

— Stasiu! Stasiu! — wstaje! Oj!

Staś zbliżył się szybko i chwycił Nel za rękę. Słoń wstał rzeczywiście i teraz dopiero dzieci mogły przypatrzeć się jego ogromowi. Widziały one poprzednio kilka razy wielkie słonie, które przez Kanał Sueski przewożono na okrętach z Indii do Europy, ale żaden z nich nie mógł się porównać z tym kolosem, który istotnie wyglądał jak wielka, szyfrowej barwy skała chodząca na czterech nogach. Różnił się także od tamtych niezmiernymi kłami, które dochodziły do pięciu lub więcej stóp długości, i jak to zauważyła już Nel, bajecznymi wprost uszami. Przednie jego nogi były bardzo wysokie, ale stosunkowo cienkie, czego przyczyną był zapewne post wielodniowy.



— Oto liliput! — zawołał Staś. — Gdyby wspiął się i wyciągnął dobrze trąbę, mógłby cię złapać za nóżkę.

Ale kolos nie myślał ani się wspinać, ani łapać nikogo za nóżkę. Chwiejnym krokiem zbliżył się do wylotu wąwozu, popatrzył przez chwilę w przepaść, na której dnie kotłowała się woda, potem zwrócił się do ściany leżącej bliżej wodospadu, skierował ku niemu trąbę i zanurzywszy ją jak mógł najdokładniej, począł pić.

— Jego szczęście — rzekł Staś — że mógł dostać trąbę do wody. Inaczej byłby zdechl.

Słoń pił tak długo, że w końcu niepokój ogarnął dziewczynkę.

— Stasiu, czy on sobie nie zaszkodzi? — zapytała.

(Dokończenie obok)

PANNA STEFANIA

Na ulicy Smolnej ciemno. Na ulicy Smolnej wiatr od Wisły bije prosto w twarz. W żółtym blasku latarni gazowych widać dwie drobne sylwetki dziewczęce. Jedna z jasnymi, druga z ciemnymi warkoczami.

— Odrobiłaś na dziś lekcję, Heluniu? — pyta jedna z dziewcząt.

Druga zaprzecza ruchem głowy w milczeniu.

— Jakże mogłaś? — w głosie dziewczynki brzmi wyrzut. — Przecież wiesz, że panna Stefania...

— Panna Stefania nie będzie się gniewała — odpowiada cicho ta druga — miałam powody, Aniu.

Ania przystaje.

— Słuchaj, czyżby?..

— Tak — odpowiada Helunia ledwo do słyszalnie — u nas w domu... rewizja.

— Ciszej! — syka Ania. — Jeszcze kto usłyszy!

Obie przyspieszają kroku. Na ulicy cicho, słychać tylko dudnienie ich własnych bucików.

Nie mówią już ani słowa. Naciskają dzwonek u ciemnych drzwi wejściowych. Za drzwiami — szelest powolnych kroków, w poszumie długiej sukni. W półciemnym korytarzu — wysoka pani, o pięknej twarzy, okolonej ciemnymi włosami wita dziewczynki, prosi je do pokoju.

Siedzą przy stole jeszcze inne dziewczęta — czekają na rozpoczęcie lekcji. Na ścianie wisi mapa. Nieduża mapka, ale jakże droga każdej z uczennic tajnego kompletu! Mapa Polski — takiej jak była przed rozbiorem. Kiedy nie było jeszcze panowania cara w Polsce, kiedy wolno się było uczyć języka i geografii ojczyźnej, kiedy nie trzeba było skradać się na lekcję z zeszytem wciśniętym pod palto, z bijącym trwożnie sercem. Serce biło bo biło, ale szło się na te lekcje do panny Stefanii z zachwytem. Umiała opowiadać tak porywająco, dalekie lądy żyły w jej opisie barwne i bliskie, dziewczynki siedziały zasłuchane, nie pamiętając o groźnym niebezpieczeństwie...

— Czegoś taka blada dzisiaj, Heluniu? — zagadnęła panna Stefania.

— Tatuś... dziś w nocy... aresztowany! — wybuchnęła płaczem Hela.

Panna Stefania zmarszczyła brwi.

— A więc jednak... — szepnęła raczej do siebie. — Nie udało się! — Słuchaj, He-

lu — zwróciła się do dziewczynki — przyjdź jutro z mamą. Pójdę do adwokata, pošlemy „wałówkę“ do więzienia, znajdzie się jakaś rada.

I nachyliwszy się nad Helunią, dodała z mocą:



Stefania Sempołowska

— Będziemy walczyć o twojego ojca. Będziemy walczyć — o każdego bojownika Sprawy.

Na ulicy Smolnej ciemno. Na śnieg nie pada blask z żadnego okna. Wszystkie okna zaciemnione. Na rogu Nowego Świata — ruiny dawnej ambasady angielskiej. W mżącym świetle latarni elektrycznej widać dwie sylwetki dziewczęce.

— Odrobiłaś dziś lekcję, Elżuniu? — pyta jedna z dziewczynek.

Elżunia spogląda z wyrzutem na koleżankę. Obie milkną. W głębi ulicy słychać głośny tupot butów. Środkiem jezdni idzie patrol — niemieckich żandarmów.

Obie dziewczynki bez tchu wpadają do bramy. Naciskają dzwonek u ciemnych drzwi wejściowych. Za drzwiami — poszum długiej sukni. I odgłos męczącego kaszlu. W półciemnym korytarzu — wysoka pani, o twarzy już postarzałej, ale jeszcze bardzo pięknej, okolonej siwymi włosami.

— Chodźcie, dziewczynki — zaprasza je do pokoju.

Ledwo weszły, Elżunia wybuchnęła płaczem.

— Mamusia... panno Stefanio... mamusię wczoraj... Niemcy... pewno do Oświęcimia...

— A jednak przyszłaś na lekcję, Elżuniu — pochwaliła panna Stefania — to ładnie. Nie wolno się załamywać. Musimy robić swoje. Kiedy to się stało?

— Wczoraj wieczorem — zabrał... Gestapo...

— W Gestapo nic poradzić nie mogą, niestety — ale gdy odeślą na Pawiak — pošlemy paczkę — może uda się i list. —

I nachyliwszy się nad dziewczynką, panna Stefania dodała:

— Twoja mamusia, Elżuniu, była tak samo jak ty moją uczennicą — gdy była w twoim wieku. Helunia tak samo przychodziła na tajne lekcje, tak samo skradała się chyłkiem z zeszytem pod paltem. Och, żeby wreszcie... żeby doczekać wolności — żeby móc uczyć w wolnej polskiej szkole Wolnej!...

Ciężki atak kaszlu przerwał jej słowa. Musiała oprzeć się o fotel.

Panna Stefania Sempołowska całe swe życie poświęciła innym. Była nie tylko nauczycielką młodzieży — nauczycielką porywającą, uwielbianą przez młodzież. Przez trzydzieści pięć lat niosła pomoc — więźniom politycznym. I za czasów caratu, i podczas dwudziestolecia między dwiema wojnami — niosła pomoc tym, którzy walczyli o nową Polskę, Polskę lepszą i sprawiedliwszą, o Polskę Ludową. Z uporem i energią walczyła o każdego więźnia. Znajdowała czas na opiekę nad setkami matek, dzieci, żon więźniów. Wychowała całe pokolenie śmiałych dzielnych ludzi. Dokonywała tego, czego nikt inny dokonać nie mógł.

Ciężko chora umierała panna Stefania w ukochanej Warszawie — podczas okupacji. Nie doczekała wolności, której tak gorąco pragnęła, której sprawie służyła z taką ofiarnością i oddaniem jak nikt inny. Nie doczekała radosnej chwili wyzwolenia.

W czwartą rocznicę Jej śmierci — dnia 31 stycznia 1947-go roku — zebrali się nad Jej grobem dawni uczniowie i przyjaciele.

Ale nie tylko ci, którzy zawdzięczali Jej swą wiedzę czy okazaną pomoc — również i ci, którzy ukochali te same co Ona ideały, przyszli uczcić Jej świetlaną pamięć.

M. W.

(Dokończenie ze str. 2)

— Nie wiem — odpowiedział śmiejąc się — ale skoro wzięłaś go w opiekę, to go teraz przestrzeż. Więc Nel przechyliła się nad krawędzią i nuż wołać:

— Dosyć, kochany słoniu, dosyć!

A kochany słoniu, jakby zrozumiął, o co chodzi, przestał zaraz pić a natomiast począł tylko oblewać się wodą: naprzód oblał sobie nogi, potem grzbiet, a następnie boki.

Ale tymczasem ściemniło się, więc Staś

odprowadził dziewczynkę do zariby, gdzie czekała już na nich wieczerza.

Oboje byli w doskonałych humorach: Nel dlatego, że uratowała słoniu życie, a Staś dlatego, że widział jej błyszczące jak dwie gwiazdy oczy i rozradowaną twarzyczkę, która wyglądała czerstwiej i zdrowiej niż kiedykolwiek od czasu wyjazdu z Chartumu. Do zadowolenia chłopca przyczyniało się i to, że obiecywał sobie spokojną i doskonałą noc. Niedostępny z dwóch stron cypel zabezpieczał ich zupełnie od napaści, a z trzeciej strony

Kali z Meą wzniesli tak wysoką ścianę z kolczastych gałęzi akacji i passiflory (odenia blobosa), że nie mogło być mowy o tym, by jakiegokolwiek drapieżne zwierzę zdołało się przez taką zaporę przedostać. Pogoda przy tym uczyniła się piękną i niebo zaraz po zachodzie słońca obryło się gwiazdami. Chłodnym z powodu bliskości wodospadu, powietrzem, przesyconym zapachem dżungli i świeżo połamanych gałęzi, przyjemnie było oddychać.



Sam i Addy przytowarzili wypożyczenie już konie i Haley po pożegnaniu się z panstwem Shelby, wyruszyli narazie w drogę na poszukiwanie Elizy z dzieckiem.

Ale przebiegły Sam z taką gorliwością szukał śladów Elizy, że zboczył z gościńca i wjechał w bagno.

Haley wstąpił się i wygrażał Murzynom, lecz ci znieśli te lajania cierpliwie i handlarz musiał im ulec i jechać wolno po grzyskich moczarach.

Po kilku dopiero godzinach dotarli do gospody, w której zatrzymała się Eliza. Sam, jadąc na przelocie, zauważył ją w oknie i chcąc w jakikolwiek sposób powiadomić ją o groźnym niebezpieczeństwie, zrzucił umyślnie czapkę z głowy i takiego narobił hałasu, że Eliza, spobiegła do drzwi, przestawiając się, cofnęła się szybko od okna, chwyciła dziecko i wybiegła bocznymi drzwiami w kierunku domu.

Ale Haley już ją spozstrzegł i dosiadłszy konia, pocwałował za nią.

Słysząc za sobą tętent konia Haleya i jego nawoływania „Tapa!”, Eliza nie wiedziała innego wysieda, innego ratunku, jak tylko w rzece. Z wystającego brzegu rzuciła się w jednej chwili do rzeki i nadłudzka siła skoczyła na najbliższy łód.

Talia drgnęła i przechylła się, ale Eliza za zaskoczyła z niej i dostała się na inną już brzytę, ciągle trzymając swe dziecko.

Posiźnęła się, upadła, osty łód rozdarł jej lekkie okrowie i pokrywawł jej stopy, ale ona biegła ze swym drugim dzieckiem, skacząc z kry na krę, wciąż dalej do przeciwnego brzegu, na którym ukochana wolność narazie odzyskać miała.

W oddali spozstrzegła jakiegoś człowieka, biącego jej na pomoc, a gdy szczęśliwie dotarła do brzegu, nieznanym pochwylił ją za rękę i dopomógł wydostać się z wody.

Eliza z pomocą tego nieznanego, który ją znalazł brzegu wyratował, dostała się do domu na folwarku, należącym do państwa senatorstwa Bird.

— Zlitujcie się panstwo, obrońcie mnie! nie pozwólcie zabrać mi mego synka! — zawołała rozpaczliwie i wycierpana padła na krzesło. — Jestem niewolnicą ze stanu Kentucky. Mój pan sprzedał mego

Henrietta Beecher-Stowe

Choć wuj Tom

(Wątek)

Jedynego synka. Nie mogłam przeżyć tego i uciekałam w nocy przed mnymi przesiadawcami, aż tu, przez rzekę.

Słysząc to przyszłego pokój; po krótkiej z nią rozmowie, powrócił i rzeki do Elizy:

— Dziś jeszcze w nocy musicie uciec, dalej, bo jutro znajdą was tutaj, pochwycają na pewno. Zawożę was przed siebie do mego przyjaciela Van Trompa, mieszającego się do siedem mil w lesie. Ma on tam swoją farmę. To znaczny człowiek, który swoich niewolników obdarzył wolnością.

CZARNI I BIAŁI BRACIA

Tutaj deszcze jesieni i zimy, okute lodem, do chłodnej, ubogiej ziemi nie dała Murzynom podlegać. Tu nie na pustyni granicach, ale wśród borów i łąk, zniszczyłyby czarnych gruzłika, i chłód, i wilgoć w krag.

Ale te piaski i skały, te skąpa ziemię pohnocną trudem swym człowiek biały objął, ukochał mocno. I nie zdobył byle boiem, lecz pracą ciężką, krawawą — ma biały człowiek swoje do swojej ziemi prawo.

Tam, gdzie w upalnych blaskach suchego, skwarowego nieba, w dzungli i w pustyni płaskach Negrzy szczytni na heban biały, na szabel ostrzach niosącym przemoc i rząd, w twarz patrzy śmiertelną, najprostsza: ED. SZYMANSKI

Najęci przez Haleya tropiciele niewolników, Locker i Narks, nie zadowolili się i pędzili i po długich i gorliwych poszukiwaniach znaleźli jej ślady: dowiedzieli się wreszcie, że Eliza czas pewen ukrywała się w domu senatora Birda, a na stępnie została wywieziona do jakiegoś farmy w lesie; starali się zatem wysledzić i to miejsce jej schronienia.

Ale i pan Tromp nie zapomniał o Elizie i chociaż nie był się tych nieludzkich lovców ludzi, dla większego jednak bezpieczeństwa zawoził ją z dzieckiem do przyjacielnicy z nim po-zo-wej rodziny kwakerskiej, gdzie Eliza nie tylko mogła się ukryć, ale skąd miało jej ułatwić ucieczkę do Kanady.

Pewnego poranku gospodyni domu, czesła jeszcze starszka, odezwala się do Elizy:

— Elizo, choź no tu do mnie z dzieckiem, mam ci coś do powiedzenia.

A gdy weszła do pokoju, dodała: — Ani się spodziewasz, co cię dziś spotka! Tylko nie lekaj się, bo to, co uszyszys, uszyszliwi cię nad wyraz.

I biorąc Harrego na ręce, zawołała: — Shichaj, moja dziecko, dziś jeszcze ujrysz swego ojczulka. Przybędzie on tu niezadługo do ciebie.

Po długich i gorliwych poszukiwaniach, Narks i Locker, nie szczędząc czasu i pieniędzy, dowiedzieli się wreszcie, że Eliza i Eliza z dzieckiem ukrywały się w domu kwarków. Zatrzymali się więc w pewnej oherzy, położonej niedaleko miejsca schronienia ukrywających, i tam, wezwawszy agenta policyjnego i kilku zbiorów uradili, że z ich pomocą napadną w nocy na dom kwarków i korzystając z ciemności, porwą zbierców.

Wiadomość ta przerażała Elize; postanowiono zatem, nie tracąc czasu, uciekać dalej, skoro tylko się ściemni.

Po serdecznych pożegnaniach z rodziną kwarków i życzeniami szczęśliwej podróży, Jerzy wsiadł z Elizą i Henrysiem do wozu. Uzbójcy w pistolety, przysięgali, że w razie napadu będą się bronili do ostatniej kropli.

Fineasz nie żałował koni i wóz toczył się z wawo. Wtem około godziny trzeciej po północy, gdy na niebie ukazały się pierwsze zwiastuny wschodzącego słońca, do uszu Jerzego doleciał odgłos kopyt konskich, a wkrótce potem dał się słyszeć głos nadbiegającego pędem Grossa.

— Zmykajcie co! chni! Zbójce już was widzą i krzyczą, pędzą za wami! Wkrótce wawóz rozszerzy się i oczom zbierców ukazała się szczelna kilku stóp szerokości, za którą znajdowała się skała, oddzielona od innych przepaścią, może na trzydziesiąt stóp wysoką i stanowiącą wyborną kryjówkę i miejsce obrony.

Tu zbiercy się zatrzymali. Tymczasem przesiadawcy znaleźli się także i wejścia do wawożu i zaczęli wdzierać się z wolna w górę. Gdy dotarli do przepaści, zatrzymali się i zaczęli naradzać, czy mają dalej ścigać uciekających.



— Jeżeli z nimi jest Jerzy — rzekł wreszcie Narks — ręczę, że ma broń i użyje jej na pewno przeciw nam. Nie radzę więc karku nadstawiać.

— Thortz byłś i jesteś! — krzyknął Locker.

Kiósne ich przewał Jerzy. — Jak śmiecie tu na tej wolnej ziemi ścigać mnie i moją rodzinę? — zawołał domoś. — Uprzedzam, że będę się bronił do upadłego i strzelę do pierwszego, który się zbliży do wawo!

— Nie udawaj! — zawołał Locker, — z groźby twej kpinny sobie! Jesteśmy tu w imieniu prawa i za nami będzie siła i sprawiedliwość, boś zbiedz! Radzimy ci lepiej poddać się wraz z twój żoną, póki czas jeszcze i jeśli nie chcesz pogorszyć sprawy!

— Użyjcie waszej siły i praw waszych! — odpart Jerzy. — Aż nadto dobrze wiem, co nas czeka, jeśli nas schwycicie, ale cierpliwie, mo! panowie, jeszcze nas nie macie, a poddam się chyba po śmierci! Tymczasem uprzedzam raz jeszcze, że bronie się będę, póki mi się starczy!

W chwili, gdy słów tych domawiał, dał się słyszeć strzał. To Narks podstępnie strzelił do Jerzego.

Kula chybiła, choć przeleciała tuż przy samej głowie zbiercy.

Eliza z przestradu krzyknęła przeraźliwie, Locker zaś myślał, że to Jerzy został ranny, poskoczył śmiało.

— Jeszcze go! — krzyknął na swoich. — Teraz nie nam nie zrobił! Gdy ogromna jego postać wysunęła się z ciemnego przemyku, Jerzy strzelił. Trafiony Locker zawył doko i upadł w tył, a trając równowagę, stoczył się całym ciężarem w rozpadline skały. Fineasz, uleszony z takiego obronki rzeczy, sprowadził swych przyjaciół ze skał do doliny. Następnie wszyscy pospiesznie podążyli w stronę Sandusky, gdzie w domu poczciwego kwakra znaleźli przytułek i schronienie.



Juliusz Słowacki

OJANKU CO PSOM SZYŁ BUTY

Było sobie niegdyś w szkole
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.



Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na
nowo.

A księżulo słuchał skargi,
I poważnie nadał wargi,
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
„Patrz mi w oczy“, rzekł do
żaka.

„Nic dobrego, nic dobrego!“
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piątaka
I do szewca oddać radził...

Jak poradził, tak matczyśko
I zrobiło... Szewc był blisko..
Lecz Jankowi nie do smaku
Przy szewieckiej ślipiac igle.
Diabeł mieszał żółc w biedaku,
Sniły mu się dziwy, figle.
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: w świat pójde o piętako!
A więc tak jak był — hołota,
Przed terminem rzucił szewca
I na strudze do Królewca
Płynął...

Jaś poklonił się królowi.
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając szastał nogą
Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.

I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem,
Powkładali szkła na oczy...
Owoż król ten posiadał sławę,
Jakoby miał wzrok proroczy;

I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewym władał,
Ze człowieka zaraz zbadal,
Na co mierzy, na co zdalny;
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny..

Lecz tą razą, wbrew zwyczajowi,
Król pan oczom nie dowierza,
Czy żak Janek na tancerza?
Czy na rządęcę dobry kraju?

Więc zapytał: „Mój kochanku,
Jak masz imię?“

Suchą nogą przejdą stawy“.
„Masz więc służbę, złotem
placę“,
Rzekł do Janka pan łaskawy,
I za sobą wiódł w pałace.

A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty;
A szewc chartów w aksamicie,
Przy królewskiej jechał świcie;



Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Co dzień stary bakalarus
Lamał wierzby na biedaku,



Złoty order miał na szyi,
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządca prowincyi,
W dni dwanaście został panem.



Jak do wody wpadł i zginął...
Matka w płacz, łamała

donio;
A ksiądz pleban na odpuszcie
Przeciw działkom i rozpuszcie
Grzmiał, jak piorun na
ambonie;

W końcu dodał.. „Bogobojna
Trzódka moja, bądź spokojna,
Co ma wisieć, nie utonie“.

Mały Janek gdzie się chował
Przez rok cały, zgadnąć trudno.

„Janek“.
„Janku,
Co ty umiesz?“
„Psom szyć buty“.
„A czy dobrze?“

„Oj, tatulu!
Czyli raczej, panie królu!
Jak szacuję, ręczyć mogę,
Ze but każdy ostro kuty,
I na jedną zrobię nogę,
Czyli raczej na łap dwoje...“

To na zimę. — Z letnich czasów
But o jednym szwie wystroję,
Na opłatku, bez obcasów;
A robota takiej wiary,
Ze psy puszczej na moczary,



I po setnej, setnej próbie
Rzekł do matki: Oj kobietol
Twego Janka w ciemę bito,
Nic nie wbito — weź go sobie!...

Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynawszy — wylądował...
Owdzie król przechodził drogą.

Starą matkę wziął z chalupy,
Król frejliną ją mianował,
A plebana pożałował
W biskupa...

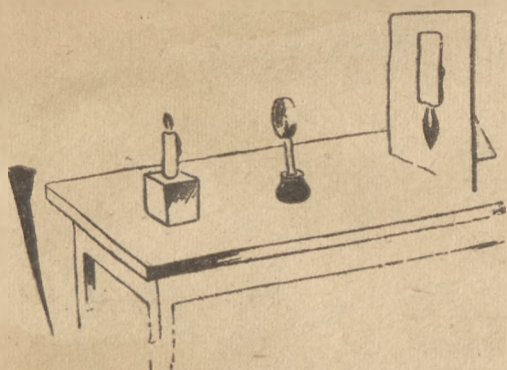




Wtem ktoś zapukał do drzwi i weszła Hania — „Franek chodź prędko — idziemy wszyscy do kina.“

„Dowidzenia, dziękuję“ — zawołał tylko Franek do Heńka i wybiegł prędko z siostrą, bo bardzo lubił kino.

Wieczorem, po kolacji, Franek odrabiał lekcje przy stole, a że żarówka właśnie się przepaliła, musiał zapalić sobie świeczkę. Spróbował od razu, czy przy pomocy światła świeczki, też można będzie papier zapalić.



Jakże się zdziwił, kiedy zamiast spodziewanej jasnej plamki, zobaczył na kartce papieru obraz świecy odwrócony do góry nogami.

Hania, która już leżała w łóżku, ale zamiast spać, szeroko otwartymi oczami przyglądała się zabawie brata, wyskoczyła wołając „Franek, to przecież jest kino, mamy kino w domu“.

Zbliżyła do świecy ręce, chcąc ją przysunąć bliżej do siebie i wtedy nagle oboje zobaczyli dwie jasne ręce na kartce papieru.

„Naprawdę kino“ — ucieszył się Franek — „tylko to trzeba jakoś ustawić“.

Hanka natychmiast przyniosła mały wazonik i wstawiła do niego soczewkę, żeby jej nie trzeba było trzymać w ręku — świecę umieściła na pudełku, a zamiast kartki papieru znalazła duży blok rysunkowy i ustawiła go na stole.

„To będzie nasz ekran“ — powiedziała.

Teraz zaczęła się zabawa w najlepsze. Doskonale się złożyło, że ojciec miał tej nocy służbę na kolei, a mama zabrała swoje szycie i poszła do sąsiadki, u której była maszyna i dotychczas jeszcze nie wróciła.

Najpierw nie mogli złapać obrazu świecy na swoim nowym ekranie. Ruszali i świecą i soczewką i blokiem i wychodziło im coś bardzo niewyraźnego i zamazanego. Aż Franek rozżołościł się na siostrę.

„Wszystko tylko popsulaś. Jak się nie znasz na soczewce, to się nie mieszaj do nie swoich rzeczy“ — powiedział.

Ale Hanka nie łatwo ustępowała. — „Bo ty wszystko ruszasz naraz. Niech soczewka stoi tu, świeca tu, a ekranem będziemy ruszali aż coś złapiemy“.

„Nikt w kinie ekranem nie rusza“ — złościł się Franek.

„Bo tam już jest raz na zawsze ustawione, a my dopiero budujemy kino“.

Hanka przesuwała powoli ekran po stole i wreszcie ujrzeli na nim wyraźny obraz świecy. Był tak jak poprzednio odwrócony do góry nogami, ale teraz był znacznie powiększony.

Hanka zbliżyła twarz do świecy i na ekranie Franek zauważył błądy profil siostry też odwrócony do góry nogami. Han-

ka kiwała głową, mrugała oczami i wszystko to było widać na ekranie.

Jeszcze wyraźniej wyszedł obraz, kiedy Franek zasłonił świecę książką, tak żeby świecy nie było widać, a tylko oświetloną głowę Hanka. Hanka wyobraziła już sobie, że jest gwiazdą filmową, i zaczęła odgrywać sceny z dzisiejszego filmu, tylko, że było jej niewygodnie, bo świeca stała prawie na środku stołu. Przesunęła ją więc na sam brzeg stołu. W ten sposób świeca teraz była znacznie oddalona od soczewki.

Obraz znikł z ekranu i Franek zaczął ekran oddalać, żeby go znowu złapać — ale nic z tego nie wychodziło.

„Spróbuj go właśnie zbliżyć“ — powiedziała Hanka.

Franek posłuchał, przysunął ekran i rzeczywiście pojawił się na nim znowu obraz, ale za to jakiś maleńki, cała świeca miała



wielkość ziarenka grochu, główka Hanka wyglądała jak laleczki.

„Ale świetnie“ — zawołała Hanka — „cała moja postać zmieści się na ekranie, zaraz będę tańczyła, a mój taniec zobaczysz na ekranie“.

„To najlepiej tańcz do góry nogami, to na ekranie wyjdzie właśnie dobrze“ — dokuczał siostrze Franek.

O leśnej babusi i o sierotce Nastusi

Była sobie jedna leśna babusia, bardzo stara i siwusia. Mieszkała w głębi mrocznego boru w sosnowej chatce wśród mchów i wysokich sosen, na których kukały kukulki swoim kukulkowym głosem.

Babusia sama sprzątała swoją chatkę, ale nie było to dla niej łatwe, bo ledwie zamiotła pół podłogi, bolały ją ręce i nogi. Ledwie wymiotła z kąta pajęczynkę, odpoczywać musiała godzinę.

Tyleż pewnego razu wyszła przed chatkę i napisała na drzwiach rączką drżąca:

— Przyjęłabym służącą. Taką, co się w pracy bardzo stara, przyjęłabym od zaraz.

Patrzy, babusia, aż tu idzie sierotka. Dość często się taką spotka. Modre oczki zaplakane i zamiast sukienki lachmanek.

Przeczytała sierotka napis na drzwiach chatki i wchodzi do środka.

— Jestem sierotka Nastusia, niechże

mnie przyjmie babusia, będę się dobrze starała.

— Dobrze, przyjmę cię — rzecze babusia — ale, jak mi uczynisz trzy rzeczy, bo chcę wiedzieć, czy jesteś zaradna, a nie mogę być kogoś przyjąć.

— A co mam uczynić? — pyta sierotka.

— Najpierw idź i przynieś mi świeżych kwiatów — mówi babuśka.

Wyszła Nastusia przed chatkę, patrzy, jeszcze śnieg zimowy tu i tam leży, skądby tu wziąć kwiatów świeżych?

Gdy tak się martwi, nagle wiatr huczący nad uchem jej wyje:

— Toć że kwiat przebiśnieżek pod śniegiem żyje, pod dębem go znajdziesz. Urwała Nastusia przebiśnieżów i niesie babusi, a ta bardzo zadowolona mówi:

— Dobrześ uczyniła, a teraz przynieś mi miarkę jagód pachnących.

Wyszła sierotka przed chatkę i znow się martwi:

— Toć jeszcze śnieg zimowy leży, skąd ja wezmę jagód świeżych?

A wiatr huczący znow jej podpowiada: — Jest na to rada, zaraz ci te jagody pokaże.

I zdmuchnął wiatr śnieg w jednym miejscu pod sosną. A pod tym śniegiem żółtawiny czerwone i pachnące rosły.

Przyniosła je Nastusia babusi a ta bardzo zadowolona mówi:

— Dobrześ uczyniła, a teraz idź i przynieś mi pięć orzechów laskowych.

Wyszła sierotka przed chatkę i płacze:

— Skądże ja orzechów wezmę laskowych, toć śnieg jeszcze leży na leszczynie.

Gdy tak stoi, płacząc, wiewiórka ją trąca:

— Dam ci pięć orzechów z moich zimowych zapasów, tylko nie płacz, bo mi cię strasznie żal.

Przyniosła Nastusia orzechy babusi, a ta bardzo zadowolona mówi:

— Zostań u mnie, widzę, że dasz sobie radę. Nauczę cię zioła rozpoznawać i suszyć na leki i będziesz je potem mogła sprzedawać do apteki.

Została Nastusia sierotka u leśnej babusi i dobrze jej się działo. A wiatr huczący i wiewiórka często przybywali do niej w goście.

Lucyna Krzemieniecka



BALWANEK



W pewien dzionek zimowy
Wojtuś, Stach i Hanka
ulepili ze śniegu
ślicznego balwanika!

Przepasali go szarfą,
a wzdłuż białej bluzy
dali z drobnych kamyczków
aż w dwa rzędy guzy.

Oczy z węgla, nos z marchwi,
kapelusz na głowie —
czyż nie piękny balwanek?
Niechaj-że kto powie.

Cały dzień trwała miła
zabawa z balwankiem,
przerwali ją na wieczór z tym,
że wrócą rankiem.

A do rana z balwanka
na środku podwórza,
została kupka śniegu
i wody kaluża.

J. HANKISZÓWNA

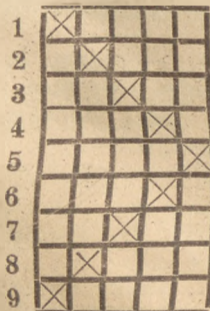


KACIK * ROZRYWKOWY

ZAGADKI

1. Ma pękaty brzuszek,
zna go Stach i Ewa,
mama z niego kawę
do kubków nalewa.
2. Bywa drewniana,
lub metalowa,
zwykle — gdy pełna —
w buzi się chowa.
3. Biega po talerzu,
na trzech, zwykle, nóżkach,
używa go chłopiec,
używa dziewczuszka.
4. Gdy cała rodzina
złerze się po pracy,
mama ją dymiącą
przyniesie na tacy.
5. Zwykle zrobiona
z drutu, lub włosia,
przez nie przelewa
mleko Małgosia.
6. Czasem w małych kryształkach,
czasem w większych kawalkach.
Czy przyjemny jest w smaku,
pytaj Hani, Michałka.
7. Gdy ktoś wciąż ci się sprzeciwia
i dokucza ci nieznośnie,
chcesz, aby się wyprowadził
tak daleko, jak on rośnie.

LAMIGŁÓWKA



W kratki prostokąta
należy wpisać dziewięć
pięcioliterowych wyrazów.
Litery w kratkach,
oznaczonych krzyżykami,
odczytane z góry na
dół — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:
1. Mała chmurka. 2. Rodzaj małego miasteczka. 3. Przyrząd kuchenny. 4. Egzotyczny, jadowity wąż. 5. Zwierzę domowe. 6. Zjawisko wyładowań elektrycznych w atmosferze. 7. Rodzaj żywej gleby. 8. Urząd wiejski. 9. Pierwotniak.

DOPELNIANKA

P..a, m.o., ..ie., n..yc., c..l,
..ie.ni., ..ra.wa, n.p..st., d..o,
p..e., k..a, ..ra..e, w..l, g..ac,
..op..a.

Kropki zastąpcie literami i odczytajcie
piętnaście nazw różnych narzędzi
rzemieślniczych i rolniczych.

UWAGA DZIECI!

Nasza gazetka ukazywać się
będzie nie w poniedziałki, jak
dotychczas, lecz we wtorki.

ROZWIĄZANIE Z NR 4 (64)

Zagadki:

1. Biały orzeł.
2. Giewont.
3. Narty.
4. Pstrąg.
5. Jeź.

Męczygłówna:

Kowal, szewc, zdun, tokarz, nocnik,
stolarz.

Litery: o, s, n, k, z, l.

OLKUSZ

Bilecik:

Z bilecików odgadliście zapewne, że
zwierzęta, którymi opiekuje się Władek,
są to: krowa, brytan, świnka, ostolek,
kasztan, baran, indyk, perlica.

ROZWIĄZANIE Z NR 5 (65)

Lamigłówna 1:

Lina, koza, igła, ręka, staw, Ewid, żbik.

Litery: n, z, l, k, a, i, e, l.

LAZIENKI

Lamigłówna 2:

Pies to najwierniejszy przyjaciel całego
wieka.